

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

31

(Ciąg dalszy).

Początkowo szukał w zajęciach i pracy ucieczki przed spleenem, jaki nim owładnął po przyjeździe do Wenecji. Gdy strejk, jaki tam wybuchł, uspokoił się zwolna, coraz bardziej poczynął tęsknić za żoną, widząc, iż nie grozi jej tutaj żadne niebezpieczeństwo. Nie chciał jej jednak odrywać od przyjaciółki.

Jeżeli nie przyjeżdża, widoczne, że nie może. Postanowił czekać cierpliwie, choć wszystkiego mu było brak, nawet usługi dobrej Ludwika. Ona zawsze wiedziała, co jej pan lubi. Było mu nieprzyjemnie i smutno samemu.

Pewnego wieczoru, spacerując po placu św. Marka, spotkał hr. Olorera, którego słowami powitania było zapytanie, kiedy zagrają znowu następną partję. Maurycy nie uległ pokusie, lecz zbudziła się ona w nim i rozpoczęła swoją destrukcyjną pracę, zagarnęła go pod swe panowanie. Waleczył z nią długo, pokonywał, lecz tylko do czasu, gdy nowe nieszczeście nie złamało jego słabej woli. Codziennie przeglądał tablice giełdowe, śledząc wysokość swych akcji, aż nagle przeczytał, że motory Salentin spadają.

Przestraszył się tem. Chciał jechać zaraz do Paryża, nie prosząc wcale o urlop, lecz strejk znowu zaoszczędził się i wskutek tego nie mógł opuścić swego stanowiska. Wysłał natychmiast dwie depesze do notariusza i agenta giełdowego, lecz zanim przyszła od nich odpowiedź, przeczytał hiobową dla siebie wieść: upadek fabryki Salentin, ucieczka dyrektora, bankructwo całego przedsiębiorstwa.

Sześćdziesiąt tysięcy franków, zaangażowane na wiarę pana Morailles, przepadły zupełnie. Nie pozostało mu nic; nie miał już żadnego kapitału, z wyjątkiem tylko dziesięciu tysięcy franków w jednym z banków weneckich. Inne sto tysięcy franków było złożone, ale na imię Joanny i Jacka, aby w razie nieszczęścia nie umarli z głodu. Powalony tym ciosem, czuł, jak zapada się w jakąś otchłań, z której za wszelką cenę chce się wydobyć! A może szczęście zwróci się do niego, może powetuje stracone pieniądze.

Tegoż wieczoru znalazł się z hr. Olorera przy zielonym stoliku. Nad ranem o trzeciej godzinie winien już był dwadzieścia tysięcy, o piątej godzinie odegrał się i wygrał ponadto jeszcze piętnaście tysięcy. A więc może wygrywać! Jest to początek fortuny, która zaczęła się do niego teraz uśmiechać. Otwierając szufladę biurka, by schować pieniądze, natrafił na ukrytą w głębi małą wazkę, z której dobywała się odorująca woń. Było w niej opjum z Pendzabu. Od zapachu tego nozdrza Maurycyego drgnęły, wzrok mu się ożywił. Przecież jedna fajka to nic złego! Odświeży tylko umysł, ulży ciału, rozwieje spleen, tę pustkę w duszy, uczucie samotności i nudy. Pokusa zaczęła coraz silniej działać. Odszukał szczerze schowaną fajkę, bardzo piękną, prawdziwe dzieło sztuki. Z początku przypatrywał jej się, stojąc przy biurku, potem siadł na otomane, przedtem jednak zamknawszy drzwi. Zdjął marynarkę, kołnierzyk, położył się i wolno nałożył fajkę. Westchnął głęboko i po chwili puścił z ust smugę wonnego, ciężkiego dymu. Nieruchomy, z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczami, rozkoszował się trucizną. Po jednej fajce nastąpiła druga, trzecia... chciał je liczyć, lecz stracił władzę nad sobą. Czuł się szczęśliwym, bez sił do czynu, z jedynym tylko pragnieniem, by przedłużyć ten stan błogości.

Na drugi dzień poszedł do hrabiego Olorera i przegrał dwadzieścia tysięcy. Nie przeraziło go to, zapalił fajkę. Gra i opjum opanowały go zupełnie.

## XXVIII.

## MĘCZARNIE MATKI.

Od chwili przybycia swego do domu zdrowia w Auteuil, Aurora de Morailles żyła jakby zahypnotyzowana. Czy to złudzenie, czy jawa, pytała się siebie przestraszona. Gdzie się znajduje obecnie? Kto są ci ludzie, których koło siebie widuje? W pamięci swej i świadomości czuła jakąś przerwę. Miała wrażenie, iż doznawała jakiegoś ciężkiego bólu, iż gnioła ją straszna zmora, nie mogła jednak połączyć wspomnienia niejasnych przebytych chwil z teraźniejszością. Dopiero po kilku dniach prostracji duchowej, czarna zasłona, zakrywająca jej przeszłość, zaczęła się zwolna rozwiewać i przyszła do samopoznania, przypominając sobie zarazem ostatnie wy-

padki w zamku, zmięć, stłuczenie lustra, tajemniczy korytarz i szyderczą w nim postać markiza.

Tak, to wszystko przeżyła, pamięta już twarz, lecz dlaczego przewieziono ją do tego domu... Męcząc się z własnymi, bezładnymi jeszcze myślami, ujrzała się wieczorem w swym apartamencie w Roche Forte, razem z doktorem Saffroy, który zapewniał, iż Joanna oczekuje na nią w pałacu w Paryżu. Kłamał on. Przecież mówił poprzednio, iż Joanna wyjechała z mężem do Wenecji, tak, żywo stoją jej teraz w pamięci słowa doktora. Więc kłamał, oszukiwał ją, zwiódł. Po tej strasznej jeździe nocą samochodem, zamiast do Paryża przybyła przed ten dom, w którym się znajduje, otoczona wrogiemi sobie twarzami. Lecz dlaczego to wszystko uczyniono, jakim prawem rozporządzono jej osobą? Kto na to pozwolił? Kto? zamiast odpowiedzi w myślach jej stała się markiz. Któż inny, jak nie ten nędzny mąż, najgorszy jej wróg; teraz nie może już o tem wątpić!...

Jednocześnie z poczuciem swego straszego położenia, wspomniła o Joannie i pani Seymour, które przecież nie pozostawia jej bez obrony. Przecież one nie uwierzą, że przybyła do tego więzienia dobrowolnie; jeżeli ją okamywano i teraz to poznała, tak samo postąpiono zapewne z Joanną, która się jednak domysli jej położenia.

Pani Bock, wchodząc siódmego dnia po uwięzieniu pani Morailles do jej pokoju, zdziwiła się spojrzeniem, jasnym wyrazem oczu swej chorej.

— Dzień dobry — rzekła *nurse* zimnym, ostrym głosem — jak pani spędziła noc?

— Dziękuję, dobrze... To pani nie opuszcza mnie ciągle od chwili wywiezienia mnie z Roche-Forte?

— Nie wiem, któż mógłby być inny... — odparła z szyderczą powagą pani Bock, jakby ją powyższe pytanie obrażało.

— Niech mi pani powie prawdę, widzi pani, że jestem zupełnie spokojną. Dlaczego wywieziono mnie z Roche-Forte?

— Ani nie mogę, ani nie chcę tego powiedzieć — odrzekła flegmatycznie. — Polecono mi tylko doglądać pani, a niczem innem nie interesuję się.

— Ależ ja nie jestem chora — rzekła żywo pani Morailles. Sam ton moich słów o tem świadczy.

— Oh, ton nic tutaj nie stanowi — odpowiedziała cierpko *nurse*. Gdyby pani nie była chorą, nie znajdowałaby się tutaj. Radzę tylko ufać osobom, które zajmują się panią; doktorzy powrócą pani zdrowie.

Aurora zbladła, duma jej została obrażoną; podniecona lekceważącymi słowami *nurse* zawołała:

— Kto pani jest? jak pani śmie przemawiać do mnie w ten sposób? kto pani dał do tego prawo? Dlaczego mnie tu przywieziono?

— Nie ja pani będę o tem mówiła, powtarzam iż jestem tylko do pielęgnowania chorych.

— Nie chcę żadnego pielęgnowania, nie chcę pani usług, proszę stąd wyjść... — odezwała się w niej duma patrycyuszki.

— Oho, jak pani się unosi! Dowód, że jeszcze jest daleko do wyzdrowienia. Niech pani wie, że mnie nic nie obchodzi; otrzymałam rozkaz i ten muszę wypełnić.

— Jakie rozkazy? — oburzyła się Aurora.

— Te, które mi dał doktor Crux i Saffroy. Chcę tylko zwrócić uwagę, iż gdyby oni zastali panią w takim stanie, musieliby użyć pewnych środków.

— O jakich środkach pani wspomina? proszę mówić, rozkazuję.

— Rozkazów żadnych nie przyjmuję od pani. Znam się na złości i niewdzięczności chorych. Doktor Crux...

— Co takiego doktor Crux? jakie nowe kłamstwo zmyślił on lub jego towarzyszy?

— Doktor Crux nic mi jeszcze nie powiedział, ale wiem, że mi powie: Pani Bock, proszę zaprowadzić chorą do zimnego pokoju...

— Co pani chce przez to powiedzieć — wyjąkała Aurora, drżąc cała.

— Tak nazywa się salę — rzekła pani, Bock zdecydowana, by użyć całego wpływu na przekonanie tej niebezpiecznej chorej, za jaką uważała Aurorę — w której panią zanurzą w lodowatej wodzie, nie pozostawiając możliwości poruszania się.

— Jakież to straszne! — szepnęła markiza.

— A potem natryski! Poskramiali tutaj i gorsze jeszcze...

— Zabijcie mnie lepiej! — jęknęła Aurora.

— Niech pani będzie rozsądną, to tylko mogę poradzić.

— Jeżeli chcą mnie uzdrowić, uważając, że potrzebuję spokoju, to niech mi pozwolą zobaczyć przyjaciół.

— To się na nic nie przyda. Kto jest tutaj, nie

może przyjmować męczących i denerwujących wizyt. Spoczynek musi być absolutny.

— Ależ wy chcecie do rozpacz mnie doprowadzić, co ja wam uczyniłam? Kto mnie tu zamknął? Kiedy mnie wypuścicie?

— Pani znowu zaczyna?... nie będę odpowiadała na te pytania... Niech pani da już spokój. Ale oto już Yvon niesie śniadanie, niech pani usiądzie i zapanuje nad sobą.

Pani Morailles spojrzała ze wstrętem na infirmiera, na jego blado-białą twarz.

— To zbyt uczucie. Proszę zabrać tacę.

Yvon jakby nic nie słyszał, postawił na stoliku tacę z czekoladą i wyszedł.

— Dobrego apetytu! — rzekła pani Bock, wychodząc.

— Proszę to zabrać!

Pani Bock zwróciła się do niej i patrząc jej prosto w oczy, rzekła:

— Proszę być posłuszną, gdyż inaczej zmuszę panią do tego. Niech pani mi wierzy, że najlepiej będzie, gdy pani zje.

— Proszę mnie opuścić — zawołała ze łzami w oczach Aurora. — Proszę wyjść!

Pani Bock wyszła, wzruszając lekko ramionami. O, już ona tę markizę poskromi. Tutaj niema żadnej arystokracji. Słuchać, a nie rozkazywać! Nauczę ją tego!

W południe *nurse* zastała markizę siedzącą w fotelu, pogrążoną w swych myślach.

— Oto drugie śniadanie dla pani.

I jak raro, Yvon wniósł na tacy: jajka na miękko, pół pieczonego kurczęcia z zieloną fasolką i w karafce czerwone wino.

— Nie będę jadła! — odpowiedziała stanowczo pani Morailles.

— Nie, pani musi być głodna i pani musi jeść.

— Pani mnie nie zna, gdy powiem nie, to nie!

— W takim razie muszę uprzedzić doktora.

Na groźbę tę Aurora wstrząsała się, pohamowała się jednak zaraz i odpowiedziała obojętnie:

— Niech pani woła kogo chce... Jeżeli życie moje ma być takie, nie wiele ono warte.

W dziesięć minut potem zapukano dyskretnie dwa razy do drzwi i na progu ukazał się doktor Crux.

— Moje uszanowanie pani. Czy to prawda, że pani nie ma apetytu?

— Mógł się pan nie trudzić. Powiedziałam pani Bock, że nie będę przyjmowała pożywienia.

— Przepraszam, przepraszam... — mówił z lekkim uśmiechem doktor, poprawiając na nosie złote okulary. — Zaraz zobaczymy... Czy menu nie podobą się? a może kucharz zaniedbał się dzisiaj.

I Crux zajął się naczyniami.

— Może droga pani nie lubi kurczęcia?... Chocząż mają nieraz kaprysy, które my zupełnie rozumiemy. Pani Rock! — *Nurse*, która stała widocznie za drzwiami, ukazała się natychmiast. — Proszę zawołać Yvona, by zabrał te potrawy. One jednak dobrze wyglądają. Niech przyniesie inne. A co pani powie o rybce i filetach wołowych z grzybkami, przeznaczonych dla mnie na śniadanie?

— Proszę przerwać tę śmieszną komedię — rzekła Aurora. Chcę porozmawiać tylko z panem.

Crux dał znak pani Rock, by wyszła i siadając niedbale, odezwał się:

— Na ten raz zgadzam się na tę pani fantazję, chociaż to jest złym przykładem i wbrew regulaminowi. Pani woli suszyć, dobrze! To ma także dobre strony, ale wieczorem pani zje obiad... a jak się pani dzisiaj czuje?

— Czuję się zupełnie dobrze i chcę odzyskać swobodę.

— Oh, oh! zawołał Crux, już nas opuścić?... Pani mówi zupełnie tak, jak i inni moi pacjenci... mają tylko jedną myśl... Uważają się za zdrowych i chcą odjeżdżać. Jak pani może przypuścić, że ja się zgodzę na to nagłe życzenie; nie, lepiej nie mówmy o tem. Pani przekona się z czasem, że u nas jest bardzo dobrze.

— Może pan tego nie spodziewać się po mnie. Pan chyba nie ma zamiaru więzić mnie siłą?

— Któż wspomina tu o sile... Czyż nie obchodzimy się łagodnie, choć nie mówię, czy w razie potrzeby dla dobra cennego pani zdrowia, nie musielibyśmy jąć się środków trochę energiczniejszych. Pewny jednak jestem, że pani nas od tego uwolni.

— Czyż pan chce mnie prześladować, jak i mąż?

— Oh, i pani znowu powraca do swojej manji: prześladować! Ależ pani to się tylko wydaje, nikt nie prześladowuje.

— Oh, już ja wiem...

— Dopóki pani będzie wierzyła w te bezmyślne bajki, ten tajemny korytarz...